

Sznurek

Ot, i kłopot ze „Złotym sznurkiem“. Sądzę, że wielu widzom przedstawienie to się podobało. Temat „życiowy“, z akcentami melodramatycznymi, gdzieś tam ktoś słyszał o podobnych sytuacjach, zetknął się z nimi, jest więc okazja do snucia analogii, towarzyskich plotek...

Sama jednak sztuka, samo przedstawienie? No cóż, jeśli chodzi o autora, Sidneya Howarda (1891—1939), przez pewien czas cieszył się dużym powodzeniem w swej ojczyźnie, USA. Wkrótce jednak o nim zapomniano. W „Złotym sznurku“ widać jak na dłoni wszystkie wady jego dramaturgii. Temat niby jest, dla społeczeństwa amerykańskiego dość charakterystyczny, z przeprowadzeniem intrygi już jednak gorzej. Widać, że autor postawił sobie tezę i do niej, na chłodno kalkulując, dopasowywał postaci. Zaborcza matka, potulni synowie, zbuntowana żona i narzeczona... Wszystkie te postaci szeleszczą papierem, ich psychologia mocno jest naciągana, dialogi jakby żywcem wyjęte z pedagogicznych pogadanek, cała dramaturgia szyta grubą nicią. Lub sznurkiem, jeśli nawiązać do tytułu sztuki...

Wszystko razem poprawne, owszem, prawdopodobne, nie wzbudza chyba jednak mocniejszych uczuć lub szerszych refleksji, poza stwierdzeniem „tak bywa“. W tej sytuacji aktorzy nie mieli zbyt wiele do powiedzenia, ani też okazji do tworzenia kreacji. Antonina Gordon-Górecka grała Panią Phelps, Marta Lipińska — Krysytynę, Irena Szczurowska — Hester, Piotr Fronczewski — Davida, Andrzej Nardelli — Roberta. Na miarę sztuki, to znaczy — poprawnie. Poprawna też była reżyseria Wandy Laskowskiej.

J. KATARASINSKI